

Posiłek podano!

1

Bohater siedząc w sali lekcyjnej, wrócił do czytania "Mdłości", niewiele zostało mu do końca. Ale ostatnio na skutek braku snu, coraz trudniej było mu przedzierać się przez kolejne strony. Jednak jego nadzieję, że uda mu się cieszyć lekturą, przerwało nagle doświadczenie, czegoś wielce dymskomfortowego.

Pustka. Światło wpadające przez wysokie okna tworzyło na podłodze długie, blade pasy. Zegar na ścianie odmierzał sekundy monotonnym tykaniem, niemal wbijającym się w skórę. Główny Bohater siedział sam w sali, w miejscu, gdzie przez cały dzień przewijały się dziesiątki ludzi, ale teraz było cicho. Niesamowicie cicho. Jakby rzeczywistość wstrzymała oddech.

Spojrzał na swoje dłonie. Były chude, palce lekko drżały. Czy to zmęczenie? Nie, coś innego. Coś, czego nie potrafił jeszcze nazwać. Gdzieś z tyłu głowy czuł lekkie pulsowanie – jakby coś się w nim poruszało, coś, czego nie mógł dostrzec.

Cierpienie było amorficzne, bezkształtne, niczym cień przesuwany się po jego ciele. Nie miał pewności, czy to jeszcze jego ciało, czy coś zupełnie innego. W myślach kłębiły się słowa Sarta o wolności i odpowiedzialności, o poszukiwaniu sensu w absurdzie istnienia. Dlaczego sam nie potrafił nadać sensu temu, co go trapiło? Dlaczego nawet lektury, filmy, kultura, nie dawały mu tej satysfakcji, jasnego uchwycenia tego, co doświadczał?

Po chwili wyrwał się z tego labiryntu myśli i zamknął oczy. Wsłuchał się w ciszę. Była niemal namacalna, wręcz lepiała się do skóry. I wtedy, przez krótką chwilę, poczuł coś więcej. Delikatne muśnięcie na karku, coś zimnego, jak cień sunący wzdłuż jego pleców. Serce zabiło szybciej, ale gdy otworzył oczy, nie było nic. Tylko on i sala, pusta, bezosobowa, obojętna.

Westchnął. Może to zmęczenie. Może zbyt długo wpatrywał się w ściany. Może po prostu... Zerknął na drzwi. Wciąż były uchylone, tak jak je zostawił. A jednak miał wrażenie, że coś właśnie stąd wyszło. Albo weszło.

2

Szkoła nie była już taka sama.

Może to było w nim. Może to było w nich. A może nigdy nie zauważył, jak bardzo świat wokół niego był popękany. W korytarzach ludzie poruszali się jak cienie, a ich rozmowy były coraz bardziej urywane, jakby wszyscy zapominali kończyć zdania. Śmiechy brzmiały pusto, spojrzenia stawały się coraz bardziej nieobecne.

Pasożyt szeptał. Nie słowami, nie wprost. Był obecny w niedokończonych zdaniach, w pustych oczach, w zmęczonych ruchach. Był jak coś, co istnieje na granicy świadomości – zawsze tam, ale nigdy do końca widoczne.

A potem nadszedł moment, gdy zobaczył go naprawdę.

Był po lekcjach, kiedy został w klasie sam. Korytarze za drzwiami cichły, jakby wszyscy nagle się rozplynęli. Spojrzał w okno, a w odbiciu szyby zobaczył coś niepokojącego.

Cienkie, pulsujące nitki. Jakby pajęczyna, ale żywa, wplątana w powietrze, w strukturę budynku. Coś, co drgało w rytm oddechu szkoły. Coś, co nagle wiedziało, że on patrzy.

I wtedy usłyszał głos. Cichy, ledwie słyszalny, ale tak wyraźny, jakby ktoś mówił tuż obok jego ucha.

„Czy twoje cierpienie jest prawdziwe? A może tylko dobrze grasz?”

3

Wracając do domu, czuł się osaczony. Niepewność wypełniała każdą szczelinę jego myśli – czy cierpi naprawdę, czy tylko odgrywa cierpienie? Czy inni widzą jego ból, czy uważają go za oszusta? A może, co gorsza, za kogoś żalosego, kogo nie warto nawet zauważyć?

Oczy go piekły, miał wrażenie, że powieki ważą więcej niż całe jego ciało. Od jakiegoś czasu nie mógł zasnąć, ale już nawet nie pamiętał dokładnie, kiedy to się zaczęło. Chyba wtedy, gdy szkoła zaczęła się zmieniać – nie w sposób wyraźny, lecz stopniowy, tak jak smród, który zaczyna się ledwo wyczuwalnym powiewem, aż nagle wypełnia całe pomieszczenie.

Korytarze zdawały się dłuższe, sufity wyższe, światła bardziej mętne. I wszyscy... wszyscy wydawali się cierpieć w nadmiarze, jakby ich emocje były zbyt ciężkie, by mogły pomieścić się w ciałach.

4

Następnego dnia jako pierwszą spotkał Prymuskę.

Sala szermiercza tonęła w ciężkim, dusznym powietrzu. Metaliczny zapach potu mieszał się z dźwiękiem kling uderzających o siebie w szybkim, niemal desperackim rytmie. Tu walka nie była zabawą. Każda porażka miała wymiar absolutny. Niektórzy, przegrywając, osuwali się na ziemię, kulili się w sobie, jakby cios klingi w serce był mniej bolesny niż uderzenie świadomości własnej niedoskonałości. Inni rzucali szable w złości, ich twarze wykrzywiały się w niemym krzyku.

A ona – ona była w samym centrum tego chaosu. Nieustannie wygrywała, ale każda kolejna walka przynosiła jej coraz mniejszą satysfakcję. Gdy ktoś jej pogratulował, spojrzała na niego pustym wzrokiem i rzuciła tylko:

— Dajcie mi kogoś jeszcze.

— Nie ma nikogo — padła odpowiedź.

Coś w jej twarzy się zmieniło. Przez ułamek sekundy w jej oczach zamigotał gniew, ale zaraz potem zastąpiła go pustka. Odwróciła się na pięcie i wyszła z sali. Jej ruchy były szybkie, sztywne – jak sprężyna, która nie może się rozluźnić.

Bohater nie zatrzymał jej.

Nie miał na to siły.

Coś go jednak nurtowało. Tylko ona nosiła na piersi rodowy herb, wyeksponowany tak, by każdy go widział. Dziwne, skoro wokół roilo się od szlachetnie urodzonych, bogatych dzieci. A on sam? Był tu przecież tylko gapciem.

W bibliotece panował nienaturalny spokój. Główna lampa migotała, rzucając światło na sterty książek. Między nimi siedziała Artystka. Jej ręka przesuwała się po papierze z niemal frenetyczną prędkością. Szkicownik był stary, pożółkły, brzegi kartek zawinięte od nadmiernego użytkowania.

Gdy się tylko zbliżył, kątem oka zerknął na szkicownik, ta zwróciła się do niego gniewnie.

— To nie jest kopia! — powiedziała nagle.

— Co?

Pokazała mu szkicownik, niemal wpychając mu go w twarz.

— Nie uważasz, że ta postać zbyt bardzo przypomina Jasona Deana z *Heathers*? Nosi co prawda płaszcz, ale to konkretnie inna postać...

Patrzył na rysunek, ale nic w nim nie widział. Linie zlewały mu się przed oczami.

— Nie wiem — mruknął, a jego własny głos zabrzmiał mu obco w uszach.

Pieprzone zmęczenie. Powieki paliły, czuł, jak pulsują mu skronie. Przetarł oczy palcami.

— Kogo narysowałaś? - zmienił wątek.

— Nie będziesz się śmiał?

— Nie.

— Mój wymarzony chłopak, nikt prawdziwy i tak by mnie nie pokochał — powiedziała, a potem dodała cicho, jakby mówiła do siebie: — Ekspresja, ukryte pragnienia i ukryte niepokoje są źródłem najlepszych dzieł kultury.

— Ładny.

Zerknęła na niego, jakby nie spodziewała się tej odpowiedzi.

— Dzięki.

Na korytarzu było zbyt ciemno.

Nie w sposób naturalny – światła wciąż działały, ale wydawały się nieistotne wobec gęstej, osaczającej czerni, która gromadziła się w kątach, w szczelinach, w przestrzeni między ludźmi.

W tej czerni były oczy.

Setki, tysiące oczu, otwierających się i zamykających w cichej synchronizacji. Patrzyły na niego. Wwiercały się w jego skórę, w myśli, w sam rdzeń jego tożsamości.

Czy to, co czuł, było prawdziwe?

A jeśli tylko udawał?

Jeśli było w nim coś fundamentalnie fałszywego?

Jego ręce zaczęły drżeć.

— Jestem smutny. Cierpię... to nie gra.

Ale te oczy... te oczy go oskarżały.

Nie chciał na nie patrzeć.

Nie chciał *być* patrzony.

Cofnął się, a wtedy wpadł na kogoś i coś szarpnęło go do tyłu. Ciemność się rozproszyła, jakby pękła bańka.

— Uważaj, jak idziesz! - Burknął Szaleniec.

Znikąd wyskoczyła Siostra i Dręczyciele Szaleńca.

— Zostaw go! Nie waż się nikogo więcej uderzyć! — Jej głos był jak ostrze, idealnie wyważone, wymierzone w samo serce.

— Pamiętasz nasze ostatnie spotkanie? Chcieliśmy tylko z tobą porozmawiać — zaatakował Szaleńca jeden z Dręczycieli. — Martwiliśmy się o ciebie. A ty rzuciłeś się na nas. Doprowadziłeś do śmierci tego swojego psa.

Pękło. Musiał uciec. Uspokoić się. Zamiast tego, wpadł w ten bałagan. "Cicho!" - wrzeszczał w myślach. "Dość tych głosów!" Gryzł palec, dłonie mu drżały.

Zdesperowany Szaleniec, złapał za ramię dziewczynę, która szła korytarzem. Koleżankę, a raczej była koleżankę.

— Pomóż mi — powiedział.

Ale ona tylko odwróciła wzrok. Szepnęła coś, czego nie usłyszał.

Po chwili, w gęstej atmosferze, wszyscy się rozeszli. Bohater zauważył tylko, jak Szaleniec nerwowo wypycha coś do kieszeni bluzy. Wyglądało to jak niewielka obroża.

Tak zostali tam tylko Siostra i Bohater. Położyła mu dłoń na ramieniu.

— Nie martw się — powiedziała, niemal ciepłym tonem. — Mnie też kiedyś uderzył. Próbujemy mu tylko pomóc, żeby nie szkodził sobie i innym.

Bohater spanikowany wbiegł do łazienki, i zamknął się w jednej z kabin. Powieki płonęły, myśli były ciężkie i gęste. Ciemność wróciła.

— To jest szczerze — pomyślał. — Ta ciemność wokół mnie jest prawdziwa.

Musiał się odizolować. Musiał uciec. Wybiegł więc na zewnątrz.

8

Szkola wyglądała inaczej. Pasożyt rozrastał się po jej murach jak gęsta, cuchnąca pleśń. Cienkie, czarne żyły pulsowały na powierzchni cegieł, wpełzały w okna, wnikały w szczeliny między płytami na chodniku. Nie było wątpliwości – to miejsce było chore. I on również był częścią tej choroby.

Bohater poczuł, jak coś chwyta go za gardło – nie fizycznie, ale jakby gęsta, dusząca obecność zaciskała się wokół niego, próbując odebrać mu oddech. A potem pojawiły się oczy.

Najpierw tylko jedno – błysk w ciemnym kącie korytarza. Potem kolejne, świdrujące go spojrzenia, oceniające, osądzające.

„On jest dziwny”, „Niekomfortowo się przy nim czuję”, „Jego obecność wszystko psuje”.

Nie czekał. Po prostu odwrócił się i ruszył w stronę domu. Nie, nie szedł – uciekał.

Z każdym krokiem czuł, jak coś za nim sunie, jak ciemność wypelza z rogów, jakby korytarze, ulice i świat wokół niego zapadały się w jedną wielką czarną plamę. Oczy nie znikaly. Wręcz przeciwnie – ich liczba rosła, nieustannie wbijały się w jego plecy, paliły go, rozrywały na kawałki.

Drzwi. Klucz. Drżące ręce, przekręcające zamek.

Gdy tylko zatrzasnął je za sobą, wszystko ucichło.

Pokój. Jego pokój.

To było jedyne miejsce, gdzie spojrzenia nie mogły go dopaść. Nie było tu oceniających szeptów, nie było Pasożyta, nie było świata, który domagał się od niego więcej, niż był w stanie dać.

Ale było coś innego. Cisza.

Nieznośna, lepka cisza, w której czas stawał się amorficzny. Minuty rozciągały się w godziny, godziny w bezkształtne wieczności. Nie było niczego, co mogłoby go wyrwać z tego stanu – żadnych zadań, żadnych obowiązków.

Tylko on i jego własne myśli.

Zrzucił plecak na ziemię, ściągnął ubranie i wszedł pod prysznic. Gorąca woda spływała po jego wychudzonym ciele, ale nie przynosiła ulgi.

Wtedy to poczuł. Czyjeś spojrzenie.

Serce zaczęło bić szybciej. Nie było to zwykle wrażenie, nie był to żart wyobraźni. Było realne. Namacalne. Ktoś stał za drzwiami łazienki.

“Nie zamknąłem drzwi wejściowych?”

Panika uderzyła w niego jak fala. Woda wciąż lała się na jego kark, ale on nie czuł już jej ciepła. Otworzył drzwi prysznicą gwałtownym ruchem, wypadł z łazienki, z sercem dudniącym w piersi. Nikogo nie było. Sprawdził zamek. Zamknięte.

Ale jego wzrok padł na koniec korytarza. Na salon. Światło było zgaszone. Niczym niezmacona ciemność rozlewała się po pokoju, a on czuł, jak przechodzi go dreszcz.

To tylko ciemność. Zawsze tam była. A jednak dzisiaj wydawała się inna. Ten mrok wydawał się czymś więcej niż brakiem światła – pulsował, wręcz oddychał. Przez ułamek sekundy zdawało mu się, że widzi oczy wylaniające się z głębi salonu. Nie błyski, nie odbicia – oczy.

Wbiegał do swojego pokoju, nie gasząc światła na korytarzu. Zamknął drzwi i oparł się o nie plecami, starając się uspokoić oddech.

Tutaj był bezpieczny. Tutaj nikt nie oceniał jego cierpienia.

9

Rzucił się na łóżko i zamknął oczy. Był wyczerpany, jego powieki paliły od zmęczenia. Ale sen nie przychodził.

Sięgnął po laptopa, otworzył go i wpisał w wyszukiwarkę „Heathers”, i po chwili kliknął “play”.

Artystka wspomniała o tym filmie w bibliotece.

Pochłonęła go estetyka. Przerysowana, teatralna, przesycona kiczem – ale jednocześnie hipnotyzująca. Utozsamiał się z Veronicą, czuł się przez nią rozumiany. J.D. go fascynował i jednocześnie odpychał. Destrukcja była kusząca, ale przerażająca. “Czy cierpienie usprawiedliwia bycie potworem?”

Kiedy film się skończył, spojrział w sufit. Jego myśli zaczęły składać się w nowe wzory. Zaczął analizować to, co stało się w szkole.

W kiczowatym języku Heathers wszystko nabierało sensu. Przesadna egzaltacja, teatralne spojrzenia, jego własne ucieczki – czy to wszystko nie było po prostu sposobem na radzenie sobie z bólem?

Poczuł się... spokojniejszy. Zrozumiał. Aż do momentu, w którym przypomniał sobie oczy. Zniknęły, gdy tylko zamknął się w pokoju.

Tak samo jak spojrzenia innych ludzi. Jak społeczeństwo.

Przetarł zmęczone oczy. Nie mógł wrócić do szkoły. Nie, jeśli każde spojrzenie było kolejnym sztyletem. Nie, jeśli ból innych rozsadzał go od środka.

Ale... co mu zostało? Autodestrukcja jak Martha Dunnstock? Destrukcja otoczenia jak J.D.? A może bunt jak Veronica? Myśl zaczęła wżynać mu się w umysł. Mdłości uderzyły w niego nagle i bez ostrzeżenia.

Zgiął się wpół, dławiąc się nagłym, gorzkim smakiem w gardle. Próbował to powstrzymać, ale nie miał kontroli nad własnym ciałem.

Czarna flegma skapnęła na podłogę.

Przez chwilę był pewien, że zaraz umrze.

10

I wtedy przyszła myśl.

Jeśli spróbuje uratować sytuację... Jeśli zniszczy Pasożyta... Może wrócić do swojej izolacji.

Może na nowo stać się tym, kim był – nikim. Pasożytem, żerującym na cudzej pracy.

Niech tak będzie.

Przetarł usta, startł resztki flegmy z podłogi i usiadł przy biurku.

Sięgnął po laptopa i opracował prosty plan. Powiedzieć Artystce, że nie potrzebuje wymyślonego chłopaka, by poczuć się kochaną. Dowiedzieć się jak najwięcej o szermierce, żeby wyciągnąć Prymuskę z jej martwoty.

Ale co ze Szaleńcem? Co jeśli naprawdę zabił tego psa? Co jeśli to on jest Jasonem Deanem tej szkoły?

Mniejsza z tym. Nie pozwoli, by zaczęło się polowanie na czarownice. Nie pozwoli, by to on stał się potworem. Z tą myślą przygryzł palec i zaczął research, który trwał do rana.

11

Bohater otworzył drzwi sali, w której odbywały się zajęcia z szermierki.

Zamiast znajomego korytarza zobaczył olbrzymią aulę, której sufit nikał w cieniu. Ściany wypełniały portrety – ten sam obraz powtórzony setki razy, drobne różnice w każdym kolejnym. Prymuska w różnych pozach, w różnych strojach, w otoczeniu książek, z medalami, z laurami. Idealna. Perfekcyjna. Nieosiągalna.

Aula była pełna ludzi, ale nie było w niej życia. Uczniowie siedzieli w ławach, nieruchomi jak manekiny, ich oczy puste. Gdy przechodził między rzędami, ich usta zaczynały poruszać się bezgłośnie.

— Genialna...

— Bezkonkurencyjna...

— Perfekcyjna...

Ale ona ich nie słyszała. Nigdy ich nie słyszała.

Na środku auli stała Prymuska. Wyprostowana, skupiona, ubrana w nieskazitelnie biały mundur szermierczy. Na piersi lśnił herb – złoty, misternie wyszywany, jakby był częścią jej ciała. W jednej dłoni trzymała maskę, w drugiej szpadę, którą opierała o ziemię.

Bohater się zatrzymał.

— Mam nadzieję, że mnie nie znudzisz. - Rzuciła Prymuska.

Nie spojrziała na niego od razu. Jej wzrok sunął po ścianach, po ławach, po nieruchomych sylwetkach uczniów. Po raz kolejny szukała kogoś, kto naprawdę tam był.

W końcu ich spojrzenia się spotkały. W jej oczach nie było gniewu, ekscytacji, oczekiwania. Były tylko chłodne światła, jak odbłask stalowego ostrza.

— Zacznijmy.

W dłoniach Bohatera pojawiło się ostrze. Nie wiedział, jak się nim posługiwać, ale nie miało to znaczenia. W tym świecie nie liczyło się doświadczenie. Liczyła się tylko iluzja.

Gong.

12

Ich ostrza spotkały się w pół drogi.

Pierwsze uderzenie – i ściany auli popękały. Drugie – portrety Prymuski przecięły się na pół, idealne twarze rozplynęły się w czerni. Trzecie – uczniowie zaczęli skandować jej imię, coraz głośniejsze, aż ich głosy zlały się w jeden długi ton, w buczenie przypominające owadzi rój.

Bohater nie miał umiejętności, ale nie miało to znaczenia. Udawał. Kreował. Był pusty, więc mógł być każdym.

Na początku jej ciosy były mechaniczne, wyuczone, matematyczne. Ale coś się zmieniało. Jej ruchy stawały się bardziej płynne. Jej kroki lżejsze.

Aż nagle – uśmiechnęła się. To trwało tylko chwilę. Ale Bohater to zobaczył.

I opuścił broń.

13

Prymuskę zatrzymało to jak uderzenie w ścianę.

— Czemu przestałeś?

W jej głosie było coś nowego – coś, czego wcześniej nie słyszała nawet ona sama.

Bohater nie odpowiedział. Patrzył na herb na jej piersi. Lśniący, złoty, teraz cięższy, ciemniejszy, jakby wbity w jej skórę.

Wokół nich skandowanie ucichło, ale w ciszy pytanie nie zniknęło.

Twarze uczniów rozmazywały się, ich usta poruszały się bezgłośnie. Czemu przestałeś? Czemu przestałeś? Czemu przestałeś?

Bohater spojrzał jej prosto w oczy.

— Nie musisz niczego społeczeństwu udowadniać.

Prymuska wciągnęła gwałtownie powietrze, jakby usłyszała coś, czego nigdy nie chciała usłyszeć. Patrzyła na uczniów – ale nie mogła ich zobaczyć. Nigdy ich nie widziała.

Jej palce drżały, gdy powoli sięgnęła do herbu. Przez chwilę wyglądało, jakby nie mogła go puścić. A potem – rozerwała go na pół.

14

Wszystko rozpadło się w jednej chwili. Jeszcze przed sekundą walczył w rzeczywistości zniekształconej przez iluzję Prymuski, a teraz nagle znów był w zwykłej sali szermierczej. Podłoga zimna, oślepiające jarzeniowe światło, zapach kurzu i metalu.

Uczniowie, którzy wcześniej poruszali się jak marionetki w jakimś groteskowym teatrze, teraz podnosili się z ziemi, masowali ramiona i rozglądali się zdezorientowani.

Prymuska klęczała na ziemi, trzymając w dłoniach strzępy herbu. Oddychała szybko, jakby po raz pierwszy. Jej oczy, w których zawsze odbijał się jedynie zimny blask perfekcji, teraz drżały od prawdziwego światła.

Bohater przez moment czuł się oszołomiony, ale po chwili zaczęła narastać w nim satysfakcja. Udało mu się. Pomógł Prymusce. A ona... ona nie patrzyła na niego już jak na kogoś nieistniejącego. Przez chwilę widział w jej oczach coś w rodzaju uznania, a może nawet wdzięczności.

Pod wpływem tej ekscytacji zaczął do niej mówić:

— To wszystko... ten Pasożyt, on wciąż tam jest. Wiem, że go czujesz. Mrok wokół nas się zagęszcza, pojawiają się oczy, które mnie obserwują— słowa wyszły z niego gorączkowo, jakby bał się, że je straci, jeśli nie powie ich od razu.

Ale Prymuska zmarszczyła brwi.

— Jaki pasożyt? — zapytała.

Zamarł.

— Ten, który oplata szkołę. Ten, przez którego wczoraj wszyscy na szermierce dziwnie się zachowywali. To on cię zamknął w twoim świecie. Tak robi z każdym, kto naprawdę cierpi. Myślę, że żywi się cierpieniem. — Miał wrażenie, że ona go nie słyszy. — Spójrz na ściany, widzisz te żyły?

Prymuska odwróciła się powoli i spojrzała na ścianę. Patrzyła długo, ale nie dostrzegала niczego.

— Niczego tam nie ma — powiedziała cicho. — I nie widziałam żadnych oczu, ani ciemności.

Znowu spojrzała na niego, tym razem jakby badała każdy centymetr jego twarzy.

— Skoro, jak mówisz, wszyscy, którzy naprawdę cierpią, tworzyli swoje iluzje i pochłaniali innych, to może ty wcale nie cierpisz? A przynajmniej nie bardziej niż zwykle. Nie na tyle, by... twoja iluzja oddziaływała na innych.

Poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy. Jego oddech przyspieszył. Słowa Prymuski dzwoniły mu w uszach, a myśli zaczęły się plątać. To nieprawda. To nie może być prawda.

Poczucie duszności złapało go za gardło. Mdłości powróciły nagle, jak uderzenie fali. Odruchowo podniósł palec wskazujący do ust, gotów wbić w niego zęby.

Ale Prymuska zauważyła to. Sięgnęła do niego i zanim zdążył się odsunąć, położyła dłoń na jego nadgarstku.

— Dziękuję ci za pomoc — powiedziała cicho. — I pamiętaj... mogę się mylić. Nie uzależniaj swojego cierpienia od nikogo innego.

Chciał coś powiedzieć, ale nie miał siły. Oczy, mrok. Wracają. Czuł ich spojrzenia, ciężar bycia obserwowanym, ocenianym.

Drżącą ręką podał jej szpadę, którą wcześniej używał do walki.

Ale ona nie sięgnęła po nią.

— Wykorzystaj ją. Może ci się przydać, gdy będziesz pomagać innym uczniom.

15

Zanim zdążył odpowiedzieć, wybiegł z sali. Przedzierał się przez korytarze, wymachując szpadą, jakby mogła odgonić mrok, który zdawał się coraz ciasniej oplatać jego umysł. Był w pół drogi do wyjścia, gdy usłyszał wołanie:

— Bracie!

Zatrzymał się. Oczy i ciemność nie zniknęły, ale ich intensywność zmaląła. Jakby coś innego zaczęło się przebijać przez ich dominację. Spojrzał na dziewczynę, która podbiegła do niego. Siostra Szaleńca.

— Widziałeś mojego brata?

Otarł dłonią oczy, czując, jak wory pod nimi stają się coraz cięższe.

— Nie. A co?

— Rozmawiałam z nauczycielami, wczoraj z rodzicami... Myślimy o przekonaniu go, żeby zgłosił się na badania psychiatryczne.

Zacisnęła pięść na szpadzie.

— Chcesz go zmusić, by sam wyrzekł się wolności, a ty będziesz miała czyste ręce?

Spojrzała na niego z niepokojem, a on zacisnął palce na rękojeści szpady, jakby tylko ona mogła utrzymać go w równowadze. Jego oddech przyspieszył, a oczy, które jeszcze przed chwilą powoli rozmywały się w ciemności, teraz wróciły, wyłaniając się zza jej pleców.

— Spalić go na stosie, nie próbując wejść w jego buty? — kontynuował, czując, jak jego głos drży od oburzenia. — Czy naprawdę myślisz, że masz prawo decydować o jego losie? Czy wiesz, jak to jest być napiętnowanym, odrzuconym, pozbawionym głosu? — To wszystko tylko metafory, puste frazesy. Albo konformizm, albo potępienie.

Siostra Szaleńca cofnęła się instynktownie, jakby w jego głosie wyczuła coś, co ją przeraziło. Spojrzała na jego dłoń, na szpadę, na sposób, w jaki ją trzymał.

— Więc zadajesz się z nim... — wyszeptała, jej głos zabrzmiał jak ostrzeżenie. — Agresja jednak jest zaraźliwa.

Przez chwilę w jej oczach dostrzegł coś, czego się nie spodziewał. Nie był to tylko strach, nie tylko troska. To było coś jeszcze – coś, co sprawiło, że zrobiło mu się zimno.

— Chcesz mnie dźgnąć? — zapytała cicho. — Bo dbam o bezpieczeństwo innych?

Przez jego kręgosłup przebiegł dreszcz. Oczy wokół niego zdawały się patrzeć coraz intensywniej.

— Błagam cię, nie stawaj po złej stronie — powiedziała, wyciągając do niego rękę. — Chcę mu pomóc. Pomóżmy mu razem.

Cisza rozciągnęła się między nimi, gęsta jak nocne powietrze. Bohater patrzył na jej dłoń, ale nie ruszył się. Coś w nim się buntowało.

— Myślisz, że moje cierpienie jest prawdziwe? — zapytał nagle, nie odrywając od niej wzroku.

Zmieszała się. Przez chwilę wyglądała, jakby szukała odpowiedzi, ale w końcu tylko westchnęła.

— Ty? — powtórzyła, jakby ważyła to jedno słowo. — Jedyne, co o tobie wiem, to to, że z nikim nie rozmawiasz, izolujesz się... Ale to wygląda jak zwykły introwertyzm.

Słowa wbijały się w niego jak igły.

— Nie musisz się o to martwić — dodała w końcu. — O ile nie pójdziesz w ślady mojego brata.

Oczy wokół niego drgnęły. Ciemność zdawała się zageścić. Zacisnął szczękę, czując, jak wszystko w nim wrze. Czy to ona miała rację? Czy on miał rację? Czy w ogóle istniała jakaś racja?

Spojrzał na nią jeszcze przez chwilę, potem bez słowa odwrócił się i ruszył przed siebie, zostawiając ją w półmroku szkolnego korytarza.

Wbiegł do biblioteki.

Bohater wszedł do świata złożonego z pociągnięć ołówka i smug węgla. Ściany nie były ścianami, lecz konturami, które pulsowały i falowały przy każdym jego kroku. Powietrze miało dziwną fakturę – było szorstkie jak papier. A pośrodku tego wszystkiego siedziała ona – Artystka.

Opierała się na masywnym szkicowniku, który spoczywał na jej kolanach. Ołówek sunął po kartce, wydając cichy szelest. Wokół niej stały sylwetki – narysowane postacie o przeszywających spojrzeniach. Jedna z nich – młodzieniec w długim płaszczu, jej Narysowany Kochanek – przyglądał się Bohaterowi z pogardliwym uśmiechem.

— Myślisz, że ją rozkochasz? — zapytał Narysowany Kochanek Artystki, podczas gdy ona nawet nie oderwała wzroku od kartki.

Jego głos był egzaltowany, pełny pasji. Rozbrzmiewał w akompaniamencie wyrazistych gestów i póź. Bohater wciągnął głęboko powietrze.

– Myślę, że to ona pierwsza mnie w sobie rozkochała. Teraz moje serce usycha bez niej. – odparł z melancholią.

– Zatem albo mnie pokonasz w pojedynku o jej względy, albo pozwolisz, by twoje serce uschło na zawsze. – Jego płaszcz zawirował wokół niego, jakby targany wiatrem namiętności.

Tym samym pojedynek się zaczął, Artystyka odłożyła na chwilę ołówek by przyjrzeć się ich potyczce.

Pierwszy był Narysowany Kochanek.

— Czymże jest życie bez miłości, jeśli nie powolnym konaniem? A czymże jest miłość, jeśli nie pełnym oddaniem? To ja wypełniam jej myśli, jej serce i duszę – bo to ja powstałem z jej dłoni, z jej marzeń, z jej tęsknoty! a jestem nieśmiertelny, wyjęty z papieru, ale niezmazany przez czas!

— Jesteś cieniem, odbiciem w lustrze, perfekcyjnym w kształcie, ale pustym w środku! To nie ty do niej szeptałeś w bibliotece, to nie twoje słowa sprawiły, że zatrzymała dłoń nad kartką, myśląc o czymś więcej, niż tylko o liniach i proporcjach! To ja tam byłem, ja z nią rozmawiałem, ja widziałem jej oczy, gdy błyszczały od pomysłów! - skontrolował Bohater

Po tej wymianie zdań, Artystka, z wyraźnym znudzeniem, powróciła do swojego rysunku..

Narysowany Kochanek zrobił krok do przodu, z uniesieniem kierując dłoń w jej kierunku

— Czuję, jak rysowała mój każdy gest, jak jej dłoń zatrzymywała się na liniach mojego oblicza, dopieszczając je do perfekcji. Ty jesteś tylko jednym z wielu ludzi, którzy przewijają się przez jej świat. Ale ja... ja jestem jej dziełem, jej wyobrażeniem ideału!

Bohater, z determinacją w oczach, wystąpił do przodu, wyciągając szpadę w stronę Artystki.

— Niech ta szpada odegnie precz Twoje troski. Twój kielich nigdy nie będzie pusty, albowiem ja będę Ci winem. Niech żar mego uczucia rozświetla Ci drogę w ciemności. A ta przysięga niech będzie znakiem, że póki oddycham, będę walczył o Ciebie.

18

Pojedynek słów trwał dalej – dramatyczny, pełen żarliwych deklaracji i literackich odniesień. Bohater mówił o jej pięknie, o jej geniuszu, o tym, jak jej sztuka przenika do serca i zostaje w nim na zawsze. On kontrował równie kwieciste, wplatając w swoje kwestie cytaty z Baudelaire’a i Rimbauda. Lecz niezależnie od tej potyczki Arystyka nie podnosiła wzroku znad szkicownika.

Z każdą minutą czuł, że przegrywa. Każde jego słowo było tylko kolejnym szkicem w jej notatniku. A ona? Nie patrzyła na niego.

Zmęczenie uderzyło nagle, brutalnie. Znowu. Ciemność napłynęła do jego świadomości, a w niej – oczy. Przerazające, obserwujące, obnażające jego słabości. Może nie da rady. Może powinien się poddać.

Nie.

Wtedy to zrozumiał. W tym wszystkim nie chodziło o jej potrzebę miłości. Chodziło o jej lęk przed wpływem.

Przestał mówić o niej. Spojrzał na swojego przeciwnika – postać wyjętą prosto z jej rysunków.

— Nie dziwne, że taki piękny — powiedział cicho, z niemal czułym uśmiechem. — W końcu wyszedł spod twojej ręki.

Artystka wreszcie na niego spojrzała.

Bohater poszedł za ciosem. Zaczął mówić o szkicach, o liniach, o fakturze jej kreski, o tym, jak ten świat – cały ten świat, który stworzyła – jest jednocześnie echem innych dzieł i czymś zupełnie nowym. Jak każde jej pociągnięcie ołówka buduje rzeczywistość, której nikt inny by nie stworzył.

19

Rumieniec wystąpił na jej policzkach.

Czuł, że to ten moment, czuł to w kościach. Musiał uważać na każde słowo. Wziął głęboki oddech.

— To... to tylko Jason Dean — powiedziała nagle, nerwowo, wskazując na Narysowanego Chłopaka.
— Ten świat to kopia innych estetyk.

Rumieniec zniknął, a jej twarz wykrzywił grymas rozpacz.

— Ja... jestem tylko żalostną imitacją innych artystów - załkała, łamiącym się głosem.

Bohater zrobił dramatyczną pauzę.

— Wiesz, kiedy spytałaś mnie w bibliotece, czy twój rysunek jest odtwórczy, nie znałem odpowiedzi — przyznał. — Ale tej nocy, kiedy nie mogłem zasnąć, obejrzałem *Heathers*. I wiesz co? Masz rację. Jest cholernie podobny.

Świat wokół nich nagle się zmienił. Linie zaczęły się wykrzywiać. Cienie się pogłębiły, a rysunki na ścianach nabrały groteskowej intensywności. Narysowany młodzieniec drgnął.

— Ale tylko jeśli chodzi o jego płaszcz — dodał szybko Bohater. — Jeśli zaś o jego żarliwość w miłości do ciebie... to jest Bohaterem romantycznym. A jeśli chodzi o styl kreski – to manga. Tokyo Ghoul, prawda?

Artystka patrzyła na niego wryta. Dłoń zacisnęła się na szkicowniku, jej palce białeły.

Narysowany chłopak obok niego nagle zaczął się kurczyć. Skręcał się w konwulsjach, jakby siła dłoni dziewczyny ścisnęła nie tylko papier, ale i jego ciało.

— Ale jest więcej niż sumą kopii — mówił Bohater, walcząc ze zmęczeniem, szukając właściwych słów. — Ich połączenie stanowi wartość...

Jego głos się załamał, ale wytrwał.

— I choć nie czynią cię jeszcze nieśmiertelną, to kiedy zaczniesz tworzyć nowe rysunki – oryginalne połączenia kopii – z pewnością będziesz dla mnie nieśmiertelną.

Artystka drżała. Oddychała szybko, jakby nagle zabrakło jej powietrza. Wzięła głęboki wdech, ale głos, który z siebie wydobyła, był słaby:

— Ale to nic nie rozwiązuje... dalej czuję ten dojmujący lęk przed wpływem.

Bohater wyciągnął do niej rękę.

— Sama powiedziałaś, że ekspresja lęku jest przyczynkiem do największych dzieł — przypomniał jej łagodnie. — Ale żeby twórczo go eksplorować, musisz wsadzić ten szkicownik do szuflady... i rozpocząć nowy.

Wahała się przez chwilę.

Wyciągnęła do niego szkicownik. Jej palce zacisnęły się na okładce, jakby chciały go cofnąć. Przez kilka sekund walczyła z samą sobą.

A potem – oddała go.

Świat pękł, jak szkło.

Wracając do rzeczywistości, znaleźli się w tym samym miejscu, w którym wszystko się zaczęło – przy stoliku w bibliotece.

Artystka sięgnęła do plecaka i wyciągnęła nowy, pusty szkicownik. Położyła go na stole. Spojrzała na niego z niepewnym uśmiechem.

— Jest tyle możliwości — powiedziała cicho. — Nie wiem, od czego zacząć moje artystyczne poszukiwanie.

Bohater sięgnął do swojej torby i wyciągnął książkę. *Mdłości* Sartre’a. Zakładka tkwiła pod koniec.

— Jeśli kręcą cię mroczne tematy – jak *Heathers* czy *Tokyo Ghoul* – to *Mdłości* będą idealne — powiedział, przesuwając palcem po okładce. — Muszę je tylko dokończyć.

Tym razem jej odpowiedź była pewna.

— Dziękuję.

Bohater poczuł lekkie ukłucie czegoś ciepłego w piersi. Na chwilę zapomniał o zmęczeniu.

21

Po wyjściu z biblioteki Bohater od razu zaczął szukać Szaleńca, walcząc ze zmęczeniem, które narastało z każdą chwilą. Flegma gromadząca się w gardle utrudniała mu oddychanie, a każdy krok kosztował go coraz więcej wysiłku. Musiał podtrzymywać się ścian, by nie upaść.

Na szczęście, w tym narastającym koszmarze, usłyszał nagle dziwną wrzawę – podążył za nią, jakby była jedynym promieniem światła w ciemności. “Znowu ten korytarz” – pomyślał, gdy w powietrzu zaczął unosić się duszący odór brudu i śmierci. Po chwili, w jednej krótkiej sekundzie między mrugnięciem a oddechem, przekroczył próg – i znalazł się w innym świecie.

22

Wokół piętrzyła się ciemność, rozświetlana jedynie przez błyszczące świece i płomienie pochodni. Sala sądowa unosiła się w pustce, a jej fundamenty były zbudowane z kości, gęsto splecionych i wrośniętych w kamienne filary. Za stołem sędziowskim siedziała Siostra, w długiej czarnej todze, a za nią wisiała ogromna waga – jedna z szal przeważała mocno w dół.

Przed nią stał Szaleniec, w podartym mundurze szkolnym, na kolanach, z dłońmi skutymi łańcuchami. Nie podnosił głowy.

Ławy pełne były uczniów, którzy razem wciągnęli powietrze, a potem zakrzyknęli jednym głosem:

— Pies zabił psa!

Szaleniec drgnął. Zacisnął szczękę.

Siostra wstała i rozwinęła pergamin, z którego miała odczytać wyrok.

— Oskarżony, znany jako Morderca Psów, Agresor, Potencjalny Morderca, Wilk ukrywający się w ludzkiej skórze...

Tłum parsknął śmiechem, ale nie był to zwykły śmiech – było w nim coś nieludzkiego, jakby gardła skandujących wypełniły się grzechotem suchych kości.

Siostra spojrzała na niego, a w jej oczach błyszczał chłód sprawiedliwości.

— Czy masz cokolwiek na swoją obronę?

Szaleniec nie odpowiedział.

Bo wiedział, że to nic nie zmieni.

23

Pierwszy Dręczyciel wstał z ławy, wskazał go palcem.

— Morderca psów, stanie się mordercą ludzi!

Szaleniec drgnął.

Drugi Dręczyciel uniósł rękę.

— Bije siostrę, bije pewnie matkę, zaraz kogoś zabije w szkole!

Szaleniec zacisnął pięści.

A potem znajomy głos, głos, który kiedyś należał do jego przyjaciółki, odezwał się cicho:

— Nawet jeśli to tylko agresja... to trzeba go odizolować. Stanowi zagrożenie także dla samego siebie.

Szaleniec opadł głową.

I wtedy zaczęło się.

24

Atmosfera w sądzie się zagęściła. Ściany pokryły się szkarłatem. Powietrze zaczęło gęstnieć, jakby wilgoć nabrzmiała krwią.

Uczniowie skandowali coraz głośniejsze, ich twarze zaczęły się wydłużać, ich dłonie przekształcać w pazurzaste szpony.

A on... czuł coś w sobie.

Jego skóra pękała. Pod spodem pulsowało coś dzikiego. Czarne żyły pulsowały na ramionach, a z pleców zaczęły wyrastać łachmany futra.

Siostra wskazała go palcem.

— Patrzcie, to zwierzę! Dzika bestia! Nałożyć mu kaganiec!

Trójka Dręczycieli podeszła i na siłę wcisnęło mu na pysk obrozę, która nagle zmieniła się w kaganiec. Tę samą obrozę, którą kiedyś kupił dla psa, którego nieumyślnie zabił.

— To nie wystarczy! Klatka to za mało! – krzyknął ktoś z tłumu. — Rozpalać stos!

Szaleniec syknął, ale nie mógł nawet otworzyć ust – stalowy kaganiec wbijał mu się w skórę, wżerał się w mięśnie.

Siostra spojrzała na niego z czułością pełną fałszu.

— Bracie, skazuję cię na leczenie bólem, ale to dla twojego dobra.

Szaleniec wysyczał przez zęby:

— Śmierć dla mojego dobra.

Siostra pokiwała głową.

— Szaleństwo to śmierć społeczna. Wolność od niej to największy dar, jaki mogę ci dać.

Łańcuchy się napięły. Tłum podniósł się, wyciągając ręce w jego stronę, gotowy wciągnąć go na stos.

I wtedy... Drzwi sali sądowej otworzyły się z hukiem.

Na progu stał główny Bohater, w ręce ścisnął szpadę – szpadę Prymuski.

Jeden ruch – łańcuchy pękły. Drugi ruch – kaganiec upadł na ziemię, ponownie zmieniając się w obrożę.

Bohater wszedł do środka i spojrzał prosto na siostrę, nie spuszczać wzroku.

— Będę jego obrońcą.

Cała sala zamarła.

Siostra przechyliła głowę na bok i zadrwiła:

— Ostrzegałam cię, żebyś się z nim nie zadawał. — Wskazała na tłum wokół nich. — Teraz ty też budzisz przerażenie.

Bohater nie odpowiedział.

Podszedł do Szaleńca i pomógł mu wstać. Ich oczy się spotkały.

Szaleniec wziął głęboki oddech. Wciąż czuł ból, wciąż czuł ciężar oskarżeń, ale po raz pierwszy... ktoś nie odwrócił wzroku.

Szaleniec dotknął gardła, czując miejsce, w którym jeszcze przed chwilą wbijały się w niego stalowe pręty kagańca. Oddychał ciężko, jak zwierzę, które dopiero co uwolniono z potrzasku.

Bohater stał przed nim, wciąż trzymając szpadę. Nie odwracał wzroku.

— Chcesz więc udowodnić tym ludziom, że nie jestem potworem? — w głosie Szaleńca brzmiała gorycz, ale i nuta nadziei, której sam nie potrafił rozpoznać.

Bohater uśmiechnął się kpiąco.

— Bynajmniej. Jesteś potworem.

Szaleniec zmarszczył brwi.

— Co?

Bohater wskazał na stos, na którym iskry tańczyły jak wygłodniałe bestie, czekające na ofiarę.

— To co? Skaczemy?

Szaleniec cofnął się o krok.

— Oszalałeś?!

Bohater przeciągnął dłonią po włosach i zaśmiał się cicho.

— Oszalałem. Ale to moje szaleństwo.

Szaleniec zamarł.

Bohater wyciągnął do niego rękę.

— Jeśli skoczysz ze mną, uratujesz swoją godność. Jeśli oni cię wrzucą, odbiorą ci ją na zawsze.

Szaleniec spojrział na dłoń Bohatera, a potem na ogień. Zauważył twarz swojej Siostry, teraz maskę bez wyrazu, jakby wszystkie emocje w niej zamarły. Spojrział na tłum. Ci, którzy przed chwilą skandowali jego winę, teraz stali w ciszy. Ich usta poruszały się mechanicznie, ale żadne dźwięki już nie wydobywały się z ich gardeł.

— Jakie szaleństwo wybierasz? — zapytał Bohater. — Na swoich zasadach czy na ich?

Szaleniec zawahał się, ale po chwili podał mu rękę.

26

Bohater zamiast ją chwycić, zwrócił uwagę Szaleńca na obrozę.

— To było twojego psa?

— Tak — odpowiedział, gdy jego ciało powoli wracało do normalnej postaci.

— Teraz możesz się z nim pożegnać.

Szaleniec podniósł obrozę drżącymi palcami. A potem — wrzucił ją w płomienie.

Tłum zawył. Sala sądowa zaczęła się rozpadać, uczniowie rozmywali się w popiół, a ściany zapadały się, ogień pożerał oskarżenia.

Siostra wciąż stała, ale jej sylwetka drżała, jakby i ona zaczęła się rozsypywać.

Szaleniec spojrział na nią po raz ostatni. A potem odwrócił się i ruszył za Bohaterem — ku wyjściu.

Za nimi świat spłonął.

27

Wszyscy znowu byli w korytarzu.

Bohater wciąż czuł szorstkość podłogi pod dłońmi, kiedy powoli podnosił wzrok. Siostra Szaleńca drżała, jakby dopiero teraz docierało do niej, co się wydarzyło.

— Czyli co, od samego początku to ja byłam czarownicą? — wyszeptała.

W tym samym momencie trójka dręczycieli, którzy jeszcze przed chwilą pastwili się nad jej bratem, próbowała wycofać się w cień. Bohater dostrzegł ich ruch kątem oka i natychmiast uniósł szpadę, blokując im drogę.

— To ona nas zmuszała! My nie chcieliśmy... — zaczęli bełkotać chaotycznie, próbując ratować się z sytuacji.

Bohater patrzył na nich beznamytnie. Czuł, jak ogarnia go zmęczenie, jak ciemność wypełnia przestrzeń między jego myślami.

— Wiecie, co jest najsmutniejsze? — odezwał się cicho, niemal szeptem. — Że tacy jak wy zwykle kończą na najlepszych stanowiskach. Są najwyżej w hierarchii. Miło, że premiujemy charyzmę, satysfakcję, a nie eksplorację...

Nie dokończył. Ciało odmówiło mu posłuszeństwa, a on osunął się na kolana. Świat zawirował, dźwięki stały się odległe, a mdłości uderzyły go z taką siłą, że przez chwilę nie mógł złapać oddechu.

Dręczyciele skorzystali z okazji i zniknęli w biegu. Szaleniec i jego siostra zostali, spoglądając na niego z niepokojem.

Wtedy zaczęło się naprawdę.

Najpierw fala mdłości, brutalniejsza niż kiedykolwiek wcześniej. Pochylił się do przodu i zwymiotował — ale tym razem nie była to tylko czarna flegma jak ostatnio. Była to gęsta, lepka krew, której metaliczny posmak wypełnił mu usta.

Z ciemności zaczęły się wyłaniać oczy — większe, wyraźniejsze, bardziej namacalne niż kiedykolwiek.

„Czy takiego cierpienia chciałeś? Tak prawdziwego, że już nie musisz niczego odgrywać?”

Słowa nie były dźwiękiem, były czymś, co czuł w środku, czymś, co przebijało się przez jego wnętrze.

Chwycił się za głowę, jakby mógł wyrwać z siebie te myśli. W oczach mu pociemniało, ciśnienie pulsowało w skroniach. Jego oczy piekły, przekrwione, łzy mimowolnie spływały po policzkach.

Szaleniec nerwowo wyciągnął telefon i zaczął wybierać numer alarmowy.

„Konsumowałeś cierpienie w kulturze, a teraz ona zaraziła cię swoją dystynkcją satysfakcji i braku uznania. Czy to nie piękne, że możecie się zżerać nawzajem?”

Siostra Szaleńca rzuciła się biegiem korytarzem, krzycząc o pomoc.

„Usatysfakcjonowany?”

To było ostatnie, co usłyszał, zanim całkowicie pochłonął go mrok.

28

Nie było bólu. Nie było mdłości. Nie było ciała.

Stał pośród nieskończonej przestrzeni, wypełnionej tylko oczami, które patrzyły.

Najpierw krzyknął. Z wściekłości, z frustracji, z bezsilności. Potem się skulił, trzęsąc się w niemym szlochu, wpatrzony w ziemię, byle tylko nie spojrzeć żadnemu oku w twarz.

Czas przestał istnieć.

W pewnym momencie wstał i ruszył przed siebie.

Nie miał celu. Po prostu szedł. Czasami puste przestrzenie przyciągały jego uwagę, choć nie wiedział dlaczego. Podał się.

Nie wygra. Nie zbuntuje się. Pasożyt miał rację. Satysfakcja go ominie.

Ale czy kiedykolwiek była mu dana?

Szedł dalej, zmieniając kierunek bez namysłu, aż w końcu przed nim pojawiło się jedno, większe oko.

Po raz pierwszy spojrzął mu prosto w źrenicę.

— Może porozmawiamy? — zapytał spokojnie. — Skoro nie ma już satysfakcji i nie ma już braku, to co ci szkodzi?

Oko milczało.

— Zapomniałem się, co chciałem powiedzieć siostrze Szaleńca... jakieś słowo.

Nie dostał odpowiedzi, ale wokół pojawiły się kolejne oczy.

— Ach... „eksploracja” — mruknął do siebie. — Poza satysfakcją i brakiem czeka mnie tylko eksploracja różnych obszarów tej pustki i rozczarowanie, kiedy ta straci płynność.

Ciemność zaczęła się rozpyływać z każdym kolejnym słowem.

— To nie bunt Veronici. Nie odgrywanie cudzego cierpienia. Eksploracja jest moją metaforą. To moje własne cierpienie.

Oko skinęło z uznaniem i ciemność zniknęła.

29

Oczy, które przed chwilą go otaczały, teraz należały do Szaleńca, jego siostry, Prymuski i Artystki.

Leżał na ziemi.

Ale czuł się lepiej.

Jego oczy przestały piec, wory pod oczami się zmniejszyły, flegma w jego wnętrzu znikła.

— Co się stało? — spytała Artystka.

— Nie zdołał mnie zabić — odpowiedział, podnosząc się powoli. — Jego próba zamknięcia mnie w umyśle też nic nie dała.

— Więc Pasożyt, o którym mówiłeś...? — Prymuska spojrzała na niego ostrożnie.

— Wciąż żyje — przyznał.

Spojrzał na ich twarze. Siostra Szaleńca nie wyglądała na szczęśliwą. W jej oczach czaiło się poczucie winy.

— Miejmy nadzieję, że szczepionka wybije jego resztki — dodał cicho, czując, jak zmęczenie opada z niego, pozostawiając jedynie coś na kształt... spokoju.

30

Przekroczył próg domu. I od razu znalazł się w swoim pokoju.

Nie w korytarzu, nie przed drzwiami wejściowymi, ale tu – w jego przestrzeni, która miała być azylem, a teraz zdawała się ciasnym, obezwładniającym więzieniem. Jego własna bańka. Stał przez chwilę, z trudem utrzymując równowagę, a zmęczenie, które wcześniej jedynie podszeptowało, teraz waliło go w twarz z pełną siłą. Był wyczerpany, jego ciało ledwo utrzymywało pion. Ale coś było nie tak.

Zrobił krok do przodu. Drzwi pokoju otworzyły się z lekkim skrzypnięciem.

Korytarz.

Zrobił kolejny krok i... znów był w swoim pokoju. Spojrzał na swoje ręce, jakby mogły mu coś wytłumaczyć. Wziął głęboki oddech, spróbował ponownie – i znowu, zamiast znaleźć się na zewnątrz, był tu, jakby jego pokój był rdzeniem tej przestrzeni, niemożliwie sklejałym każdy ruch w jedną, powracającą wciąż pętlę. Próbował jeszcze raz. Przechodził przez kolejne korytarze, które zaczynały się zmieniać. Kiedy miał już dojść do wyjścia, przed nim pojawiła się klatka schodowa – spiralna, kręta, bez końca. Biegł, szukał wyjścia, ale każde drzwi prowadziły tylko do kolejnej wersji jego pokoju.

A potem wszystko zaczęło się rozpadać.

Ściany zniknęły. Przed nim rozciągała się niemożliwa przestrzeń – nieskończona ilość jego własnych pokoi, połączonych ze sobą w labirynt pozornie bezsensownych korytarzy i schodów, które zapętały się w sposób, który mógłby istnieć tylko w umyśle pełnym lęku. Przestrzeń pulsowała. Między korytarzami płynęła czarna ciecz, pokrywająca ściany, jakby były żyłami, przez które sączyła się gęsta, obezwładniająca substancja. Niektóre pokoje zdawały się unosić i opadać w rytmicznym tempie, inne pulsowały jak serce, a gdy wstrzymał oddech, miał wrażenie, że słyszy jego bicie.

Biegł przed siebie, byle dalej. Zatrzasnął drzwi za sobą.

31

Bohater wszedł do pomieszczenia. Pasożyt już na niego czekał.

— Koniec iluzji. Wiem, kim jesteś.

Pasożyt uniósł lekko głowę, jakby w geście rozbawienia.

— Długo ci zajęło.

Bohater zacisnął dłoń na szpadzie.

— Ty nie jesteś tylko stworzeniem czającym się w mroku. Nie jesteś tylko wirusem, który oplótł tę szkołę. Ty byłeś tutaj od zawsze. Kierowałeś tym, co ludzie konsumują, na co patrzą, o czym myślą. Twoje macki są jak algorytmy, jak wzorce powtarzane w nieskończoność, aż staną się prawdą. Ty nie tylko wzmacniasz cierpienie – ty je tworzysz. Sprawiasz, że ludzie karmią się nim, i nie mogą przestać.

Pasożyt uśmiechnął się lekko, jego ciało poruszało się niczym falujące cienie.

— A więc ludzie obawiają się, że sztuczna inteligencja przejmie kontrolę nad światem? Że algorytmy zdeformują ich rzeczywistość? To tylko jedne z wielu moich narzędzi. One nie są problemem... Kultura już dawno stała się pasożytniczym intelektem! Nauczyciście się konsumować własne emocje, własne cierpienie, cudze historie. Wasze narracje są jak puste naczynia, które trzeba nieustannie napępniać – nieszczęściem, gniewem, samotnością.

Bohater milczał. Pasożyt przechylił lekko głowę.

— Nie jesteś pierwszym, który próbował mi się przeciwstawić. Wiele osób ukrywało się, uciekało przede mną. Ale koniec tej zabawy.

Wokół niego nagle pojawiły się postacie. Szaleniec, Artystka, Prymuska. Ci, których uratował. Szaleniec położył mu rękę na ramieniu, Artystka wręczyła rysunek przedstawiający jego samego jako postać egzystencjalisty, szermierka klepnęła go lekko w drugie ramię.

– Będziemy z tobą – powiedziała. – Pomożemy ci przez to przejść.

Pasożyt patrzył na niego cierpliwie.

– Możesz zostać tutaj, w iluzji. Wszyscy uznają twoje cierpienie. Nie będzie wątpliwości co do jego prawdziwości. Będą ci współczuć, szanować je, traktować jako coś realnego. W zamian pozwolisz mi żyć w tobie. Będziesz tkwił w śpiączce, ale twoja świadomość pozostanie tam, gdzie zawsze chciałeś być. W izolacji, ale tej, którą wszyscy widzą.

Czyli Już próbowałeś zamknąć mnie w moim umyśle. Wystarczy - powiedział Bohater

Pasożyt zmrużył oczy.

– Nawet jeśli mnie pokonasz, i wyjdiesz do tych których uratowałeś, to co znajdziesz? Świat, w którym cię rozumieją. Gdzie cię doceniają. Świat, który jest dla ciebie idealny. A jeśli jest idealny, to czym różni się od iluzji? Czy nie potraktujesz go tak samo, jak tę propozycję? Skąd wiesz, że odmówiłeś naprawdę? Może to też tylko gra?

Milczał.

– Jest jeszcze jedna możliwość – ciągnął Pasożyt. – Możesz zmierzyć się ze swoimi najgłębszymi lękami. Uwolnić się od ciężaru. Mieć pewność, że mnie unicestwisz.

Bohater słuchał tego wszystkiego, stojąc w przestrzeni skrojonej na miarę jego lęków. W tej dusznej, ciasnej, klaustrofobicznej scenerii, która była czymś więcej niż tylko jego domem – była jego światem. Czuł zmęczenie. Tego nie dało się uniknąć.

Ale po raz pierwszy postanowił się temu przeciwstawić.

– To tylko gra językowa – powiedział. – Każesz wybierać pomiędzy narzuconymi opozycjami. Między satysfakcją albo jej brakiem. Cierpienie, które zyskuje uznanie, albo żadne.

Pasożyt milczał.

Bohater uśmiechnął się słabo.

– Mam dość narzuconych mi klasyfikacji. Stworzyłem własną Metaforę! Własną dystynkcję! Podział na eksplorację, która wykracza poza społeczne hierarchie, i rozczarowanie, gdy tracę płynność moich poszukiwań. Nie muszę odgrywać cierpienia, by zdobyć społeczne uznanie. Mogę nieustannie kreować własną maskę cierpienia.

Świat wokół niego się zatrząsł. Pasożyt nie odpowiedział. Nie musiał.

Bohater zrozumiał.

Nie było tu żadne jednoznacznego rozwiązania. Pasożyt mógłby przetrwać, mógłby zniknąć – ale to niczego by nie zmieniło. Pewność była niemożliwa. A skoro nie było jej, to mógł sam kreować swoje performatywne cierpienie..

Spojrzał na Pasożyta.

– Po prostu lubię tworzyć własną estetykę cierpienia – powiedział cicho. – A teraz pozwól, że dokończę lekturę.

Pasożyt patrzył na niego przez cały czas kiedy to siedział przy biurku i kończył “Młodości”. Po paru minutach w końcu, zamknął książkę i wstał, rzucając ostatnie spojrzenie na Pasożyta. Symbolicznie mógł pożegnać się atrybutem podtrzymującym ten świat. Nie musiał już dłużej naśladować Requentina, Veroniki ani nikogo innego.

Bohater zrobił krok naprzód. Był zmęczony. Bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Ale ten krok był jego własnym – nienarzuconym, niewymuszonym przez żadną z ról, jakie musiał odgrywać. Nie wiedział, co się stanie. I może właśnie to było jedyne prawdziwe wyzwolenie.

Nie było ostatecznych odpowiedzi. Nie było nawet satysfakcji.

Została tylko eksploracja i estetyka.

32

Bohater leżał na trawie, czując przyjemne ciepło ziemi pod plecami. Ciało miał ciężkie, ale tym razem nie było to zmęczenie, które przygniatało go jak wcześniej – raczej błogi spokój, jakby po raz pierwszy od dawna pozwolił sobie na oddech. Spojrzał na czubki drzew kołyszące się leniwie nad nim i uśmiechnął się lekko.

— Życie jest takie płynne... — rzucił pół żartem, pół serio. — Co jeśli to wszystko, co się zdarzyło, było jedynie grą metafor w naszych głowach? Próbą zrozumienia naszego wyczerpania? Może byliśmy zamknięci — na skutek nadmiernego zmęczenia — we wspólnym paroksyzmie?

Artystka, siedząca obok, prychnęła cicho, podrzucając szkicownik w dłoń.

— Z pewnością zaraz będę musiała opracować nową metaforę, jeśli tak szybko będę zapełniać kolejne szkicowniki.

Bezceremonialnie rzuciła stary szkicownik na trawę i wyciągnęła z plecaka nowy, zupełnie czysty.

— Mogłam wziąć jeszcze jeden na zapas — dodała z udawaną nonszalancją, choć jej oczy błyszczały entuzjazmem.

Bohater sięgnął po porzucony szkicownik i przekartkował go, zatrzymując się na jednym z rysunków. Zmarszczył brwi.

— Nie rysujesz już postaci? Od kiedy interesuje cię architektura?

Artystka wyprostowała się z dumą i uniosła dłoń w teatralnym geście.

— Odkąd intensywnie eksperymentuję z różnymi nurtami artystycznymi! — oznajmiła, wskazując na siebie jak wielki mistrz pędzla.

Nagle przed nimi przeleciała piłka, a za nią pognał jamnik, który z impetem wskoczył na szkicownik Artystki. Jej dłoń instynktownie uniosła się w obronnym geście, ale zamiast gniewu, z jej ust wydobył się śmiech, gdy pies zaczął lizać ją po policzku.

— Widzę, że twój terapeutyczny pies pomaga ci z agresją, samemu przejmując od ciebie rolę szerzenia destrukcji — ironicznie zauważyła Artystka, kiedy Szaleniec, podbiegł do nich podnosząc piłkę.

— Chciałbym jedynie powiedzieć, że Cosset to najczystsze stworzenie, z jakiego będziesz mogła kiedykolwiek czerpać inspirację.

— Ciągłe mnie bawi — odezwała się Prymuska, siedząca na ławce i przyglądająca się im z rozbawieniem — że skoro jamnik to Cosset, to ty musisz być Jean Valjean.

Szaleniec wyszczerzył się triumfalnie, ale ona szybko kontynuowała:

— Ale cóż, skoro już jesteśmy w metaforze rewolucji wobec norm, to po moim symbolicznym odcięciu się od herbu rodowego jestem zmuszona walczyć o honor nie tylko mojej rodziny, ale również waszej.

Bohater westchnął i spojrzał na nią z politowaniem.

— To było cringowe.

— A kto wyznawał mi wielką miłość? — skontrowała Artystka, unosząc brew.

Rozmowa toczyła się dalej, śmiech płynął między nimi swobodnie – jakby po raz pierwszy od dawna pozwolili sobie po prostu być. Bohater przesunął wzrokiem po otoczeniu – i wtedy je zobaczył.

Na pniu drzewa, niedaleko nich, wiły się cienkie żyłki Pasożyta. Wciąż obecne, lecz niemal przezroczyście. Przez moment serce zabiło mu mocniej – ale zaraz potem coś się zmieniło. Pasożyt nie pełzał już w jego stronę, nie oplatał go, nie wysysał sił. Po raz pierwszy wyglądał... na nienasyconego.

Bohater spojrzał na swoich towarzyszy – na Artystkę, wciąż śmiejącą się z jamnika, na Szalenca nonszalancko podbijającego piłkę stopą, na Prymuskę, w której oczach nie było już tylko surowej analizy, ale i zwykłego, ludzkiego ciepła.

Uśmiechnął się pod nosem i zamknął oczy, pozwalając sobie na chwilę ciszy.

„Mam nadzieję, że posmakują ci pozytywne emocje” – pomyślał, patrząc na drzewo.

I po raz pierwszy od dawna czuł, że naprawdę może odpocząć.